

Niemen na pograniczu Europy

(Fragment książki „Niemen. Historia kultury europejskiej rzeki” Uwe Rady)

Białoruska flaga w polskim Białymstoku jest bardzo ceniona na ulicy Warszawskiej 11. Tam ma siedzibę Towarzystwo Kultury Białoruskiej w Białymstoku, a jego szef, Jan Syczewski, jest już od rana zatroskany. »Sytuacja jest poważna«, uskarża się i każe podać czarną herbatę. »Jak mamy propagować kulturę białoruską w Polsce, jeśli dostajemy od państwa polskiego tylko kilka złotych? To zupełnie nie wystarcza!« Syczewski ma około 45 lat, dłonie troskliwie złożone na sobie, siedzi u szczytu stołu konferencyjnego, gość musi zachować odstęp. Meble w biurze Białoruskiego Towarzystwa pochodzą jeszcze z czasów sprzed przełomu politycznego z PRLu. Tylko bieżniki w kolorach Republiki Białoruskiej świecą się świeżą ciemną czerwienią i zielenią. 200.000 Białorusinów mieszka w Polsce, połowa z nich w Białymstoku, ale tego ranka nikt z nich nie znalazł drogi na ulicę Warszawską. Najwidoczniej ciężko jest przeskoczyć tej zorganizowanej Białoruskości z organizacji mniejszościowej do czasów, w których zmieniająca się identyfikacja jest oczywistością. »Czy widzi Pan dwujęzyczne szyldy z nazwami ulic w tym mieście? Coś, co czyni Białorusinów widocznymi w Białymstoku?« Jan Syczewski potrząsa głową. Sytuacja jest poważna, przede wszystkim, jak się wydaje, dla jego Towarzystwo Kultury Białoruskiej w Białymstoku.

Białystok, 300.000 mieszkańców, jest jednym z największych miast we wschodniej Polsce, oddalonym tylko o 50 km od białoruskiej granicy. Do Grodna nad Niemnem, które liczy tyle samo mieszkańców, jest to tylko 70 kilometrów. W rzeczywistości oba te miasta były przez wiele stuleci ze sobą powiązane, nie tylko poprzez kolej warszawsko-petersburską, która została uruchomiona w roku 1862. Linia prowadziła z Dworca Petersburskiego w Warszawie, poprzez Białystok, Grodno, Wilno i Rewal do Dworca Warszawskiego w rosyjskiej stolicy. Na starych fotografiach Białegostoku i Grodna można jeszcze odcyfrować cyrylicę na budynkach dworcowych – oba miasta należały przed I Wojną Światową do cesarstwa carów. W międzyczasie granica zewnętrzna Unii Europejskiej dzieli te dwa miasta. Z Białegostoku jeździ do Grodna już tylko jeden pociąg regionalny dziennie. Nierentowna działalność dla Polskich Kolei Państwowych PKP – i sygnał dla mniejszości polskiej w Grodnie, że Warszawa nikogo nie zostawi w potrzebie. W końcu mieszka po drugiej stronie granicy około 400.000 Polaków. Również oni mają swoją szefową mniejszości, która głośno zabiera głos. Inaczej niż Towarzystwo Jana Syczewskiego Związek Polaków na Białorusi musiał zejść wraz ze swoją przewodniczącą Andżeliką Borys do podziemia. Prezydent Białorusi Aleksander Łukaszenka zainstalował na jego miejscu inny, wierny reżimowi – i przekazał mu przy tej okazji 12 z 14 »Domów Polaka«.

Paweł Mickiewicz siedzi przy Rynku, długim, trójkątnym Placu Rynkowym w Białymstoku i zamawia napój mleczny. Średniej długości włosy, luźne ubranie, zadrukowana torba – ten student o nazwisku poety nie rzucałby się w oczy także w Berlinie czy Warszawie. Dlaczego więc wschodnia prowincja Polski? »Białystok jest dla mnie tym, co jest bliskie«, mówi Mickiewicz, który właśnie skończył studia historyczne i uczęszcza na studia podyplomowe jako europejski manager kultury. Mickiewicz pochodzi z Grodna i w Białymstoku może utrzymywać kontakty ze swoim ojczystym miastem na Białorusi. »Oba miasta mają całkiem szczególną atmosferę«, stwierdza. »Nie za duże, ale pomimo tego nie zapyziały. Czuję się tu dobrze.« Także jako obywatel Białorusi nie miał on do tej pory żadnych problemów w Polsce. Poza tym, zapytuje, co to jest Białorusin, co to jest Polak? »W moim domu ojczystym w Grodnie mówiono po polsku, rosyjskiego i białoruskiego nauczyłem się dopiero później.« Jeśli chodzi o przyjaciółkę z Białegostoku jest dokładnie odwrotnie. »Ona mówiła w domu po

białorusku a polskiego nauczyła się w szkole.« Język ojczysty, narodowość, religia, to dla Pawła nie jest nic dzielącego, raczej oznacza to bogactwo kulturowe. Również z tego powodu nie angażuje się ten student z Grodna w działalność Towarzystwa Kultury Białoruskiej w Białymstoku, lecz w działalność Centrum Kultury w Białymstoku. Tam już dawno nauczono go europejskiego spojrzenia w przyszłość.

Być może Białystok jest jedynym miastem w Polsce, któremu udało się uratować przedwojenną wielokulturowość do czasów współczesnych. Rzeczywiście znajdują się w mieście nad Białą i w okolicznych wsiach nie tylko kościoły katolickie, lecz także prawosławne cerkwie i nawet kilka meczetów mniejszości tatarskiej. Aż do centrum miasta sięgają drewniane domy prawosławnych mieszkańców, a kto jedzie autobusem przez miasto, może obserwować, który pasażer przed którym kościołem robi znak krzyża. »Inny Wymiar«, tak nazywa się wielokulturowy festiwal Wojciech Bokłago, który odbywa się od 2008 corocznie we wrześniu. »Polacy, Białorusini, Niemcy, Żydzi, Tatarzy, Litwini, Rosjanie – wszyscy pozostawili swoje ślady w tym mieście«, podkreśla Bokłago. »Białystok nigdy nie należał do tylko jednego narodu.« Nie każdy jednak odczuwał tę babilońską mieszaninę języków jako bogactwo kulturowe. Również z tego powodu w końcu 19. wieku chciał rozpocząć nową epokę mieszkający w Białymstoku żydowski okulista Ludwik Zamenhof. Zamiast rosyjskiego, polskiego lub jidysz miano rozmawiać w przyszłości w całej Europie Wschodniej we wspólnym sztucznym języku – esperanto. Chociaż nic z tego nie wyszło, to jednak do dziś Ludwik Zamenhof jest tu czczony jako Dr Esperanto. W Centrum Zamenhofa odbył się już nawet w roku 2009 Międzynarodowy Kongres Esperanto. Od tej pory zabytki są w Białymstoku wychwalane w trzech językach: po polsku, po angielsku i w esperanto.

Czy można zmierzyć postęp w Europie? Czy jest jakaś skala spotkań ponad granicami, jakiś indeks ponadnarodowej współpracy? A jeśli tak, to gdzie byłby na tej skali region pogranicza pomiędzy Polską, Białorusią i Litwą. Gdzieś na końcu rankingu, ale jeszcze przed pograniczem Mołdawii i Naddniestrza? Czy też Białoruś puka już tam, gdzie jest najbardziej zachodnia, do drzwi Unii Europejskiej? I jaka rolę odgrywa Niemen na tej skali? Czy to jest rzeka, która tak jak Odra lub Ren łączy? Czy też przeważa jeszcze w dalszym ciągu to co dzieli, dwadzieścia lat po upadku żelaznej kurtyny i po zaniku granicy pomiędzy Niemcami i Polską. Takie pytania stawiane są także w Białymstoku. Pytania polityczne, pytania o obowiązek wizowy, pytania o współpracę kulturalną, pytania o połączenia komunikacyjne – wszystko to są bardzo aktualne pytania.

Dla Macieja Ranta współczesność jest dużo bardziej istotna niż przeszłość. »I czyn«, stwierdza i zajmuje wygodną pozycję w wytartym skórzanym fotelu. »Zbliżanie ludzi do siebie jest przecież dużo ważniejsze niż wszystkie te teorie.« Maciej Rant sam tworzy kino, prowadzi jedyne kino offowe w Białymstoku. I jest z przekonania człowiekiem przekraczającym granice, człowiekiem, którego nazywa się w Polsce »człowiek pogranicza«, człowiekiem zamieszkującym obszar pograniczny. »Mam wielu przyjaciół w Grodnie i naturalnie współpracujemy z nimi. Jesteśmy silną grupą filmową, granice nas nie interesują.«

Rant nie ma także dobrego zdania o polityce. Wprawdzie Unia Europejska powołała do życia w maju 2009 z inicjatywy Polski tak zwane »Partnerstwo Wschodnie«, pogłębioną współpracę z Białorusią, Ukrainą, a także z Mołdawią, Armenią, Gruzją i Azerbejdżanem. Jeśli chodzi o Aleksandra Łukaszenkę, to zniesiono tymczasowo zakaz wjazdu do Krajów Unii Europejskiej. Ale Rant ma własne wyobrażenia o »sąsiedztwie wschodnim«: »mosty powstają tam, gdzie spotykają się ze sobą ludzie, a nie politycy.« Maciej Rant zapada się jeszcze trochę bardziej w fotel skórzany. »Jasne, że szmuglujemy nielegalnie nasze filmy na

Białoruś«, przyznaje i uśmiecha się niewinnie. »Jeśli trzymalibyśmy się drogi służbowej, to musielibyśmy te filmy na tygodnie lub miesiące wcześniej dostarczyć cenzurze.« Jak samowolni są cenzorzy w kraju Aleksandra Łukaszenki, pokazuje zaplanowany na 07.03.2010 koncert grupy rockowej Rammstein. Bilety były już sprzedane, gdy szef państwowej reżimowej »Komisji Wartości« zauważył, że ta grupa muzyczna rozprzestrzenia propagandę »przemocy, masochizmu, homoseksualność i inne zbrodnie«. Szybko i zdecydowanie cenzor zalecił swojemu prezydentowi odwołanie koncertu na arenie w Mińsku. Dopiero po wielu protestach udzielono znowu zezwolenia na występ. »Czegoś takiego sami sobie nie zrobimy«, stwierdza Maciej Rant, a dumy w jego głosie nie da się nie usłyszeć.

Mini biuro Ranta jest świątynią czynu. Na ścianach wiszą plakaty festiwalów, na szafach kłębią się rolki filmów, pomiędzy regałami naklejone są fotografie, komórka dzwoni w pięciominutowym taktie. Również następny projekt jest już w głowie tego człowieka kina z Białegostoku. »Przed Drugą Wojną Światową przebiegała granica pomiędzy Polską a Białorusią dużo bardziej na wschód. Potem została przesunięta na zachód, a ludzie stali się nagle obywatelami Związku Radzieckiego, przy czym nie zmienili miejsca zamieszkania. To jest terazniejszość historii. A więc zrobimy film o dwóch ludziach, którzy jada tandemem przez okolicę. Jeden z nich jest Białorusinem, ale jego dziadek był Polakiem. Drugi jest Polakiem, chociaż jego dziadek był Białorusinem. Z tym bagażem jadą oni z Białegostoku na Białoruś. Sądzę, że może to być interesujący film.«

Jeśli słuch się Macieja Ranta, entuzjastę filmu z Białegostoku, to wydaje się, że granica pomiędzy Polską a Białorusią istnieje już tylko na papierze. W rzeczywistości obowiązek wizowy Unii Europejskiej prowadzi do tego, że współpraca Centrum Kultury w Białymstoku i »Underground« w Grodnie jest jednokierunkowa. Na 25 Euro za polską wizę i 60 Euro za wizę szengenką nie może sobie pozwolić prawie nikt w sąsiednim mieście, a jeśli obok organizuje on obok swoich przedstawień filmowych jeszcze festiwal Basowiszca dla młodych Białorusinów, to nie jest to możliwe bez udziału środków UE. Jak dla wielu innych mieszkańców terenów przygranicznych nadzieją Macieja Ranta jest dlatego mały ruch przygraniczny. Odpowiednia umowa pomiędzy Polska a Białorusią została podpisana w Warszawie w lutym 2010. Bruksela wydała już zgodę, teraz musi zostać ta umowa tylko jeszcze ratyfikowana. Samo miasto Białystok nie leży w 30 kilometrowym pasie granicznym, w którym ma być w przyszłości umożliwiony ruch bezwizowy. »Ale ludziom z Grodna będzie łatwiej do nas przyjechać«, cieszy się Rant.

Krótko przed odjazdem o 12.10 jest podstawiany pociąg. W trasę do białoruskiego Grodna trwającą niecałe 3 godziny Polska Kolej Państwowa PKP wysyła pociąg osobowy, który na innych trasach już dawno byłby wycofany z ruchu. Miejsca siedzące są z twardego czerwonego plastiku, toalety zapchane, w obiciach sufitu zieją duże dziury. Pociąg regionalny nr 194 jest jednym z ostatnich pociągów szmuglerskich w Europie, jednakże w Białymstoku nie odczuwa się tego zupełnie. Na peronie dwie starszki w chustach przyglądają się mężczyźnie, który ze swoim ojcem zwiedza ojczyznę. Gdy ze sobą rozmawiają, dużo się mówi o »Kresach« i »Grodzieńszczyźnie«, byłych polskich terenach wschodnich. Jeszcze poprzedniego wieczoru zdradził mi Andrzej Kłopotowski, dziennikarz lewicowo-liberalnego dziennika Gazeta Wyborcza, że on sam nie używa słowa Kresy. »To słowo ma taką domieszkę. Kresy, brzmi to tak, jak gdyby w dalszym ciągu byłoby polskie. Kresy, to jest polski mit, ale to przecież już historia.« Tak jak Maciej Rant również Andrzej Kłopotowski rozmawia chętniej o terazniejszości. »Gdy jadę do Grodna lub Wilna, mówię moim przyjacielom: Jadę do Grodna lub Wilna. Jedno jest miastem białoruskim, drugie litewskim. Kropka.« Najchętniej Kłopotowski podróżuje autostopem przez wschód Europy Centralnej,

ponieważ w ten sposób najlepiej poznaje ludzi. Również w ten sposób odkrył źródło Niemna. »Niemen jest dla mnie fascynującą rzeką. Szkoda, że nie przepływa przez Białystok. To jest trochę coś innego, gdy mieszkasz w mieście z rzeką lub w mieście bez rzeki. Grodno ma tu przewagę nad Białymstokiem.«

Powoli wtacza się pociąg szmuglerów na dworzec w Sokółce. W ostatnim małym mieście przed granicą Białorusini są już większością. W hali dworcowej wisi szyld: »Bar Niemen. Wynajem lokalu do uroczystości«. Bar o nazwie Niemen chce poradzić sobie finansowo nie tylko sprzedając bigos i pierogi, lecz także organizując uroczystości. Pożółkłe firanki i mroczne światło wnętrza każą przypuszczać, że ostanía impreza odbyła się już parę lat temu. Za to wsiadło w Sokółce kilku uczniów. Rozmawiają po polsku, nie białorusku. »Ta opowieść o Białymstoku i wielokulturowości, to jest bajka«, powiedział Andrzej Kłopotowski w Café Esperanto na rynku w Białymstoku. »Wcześniej Białystok był naprawdę wielokulturowy, wtedy mieszkali tu Polacy, Żydzi, Białorusini, Niemcy i Tatarzy. Dziś są to już tylko Polacy i Białorusini. A oni są tu przede wszystkim dlatego, ponieważ przenieśli się wraz z granicą na zachód, żeby nie musieć pozostać w Związku Radzieckim. To nie jest wielokulturowość, to jest marketing miasta.« Potrząsając głową Kłopotowski powtarza to słowo, jak gdyby ta myśl dopiero teraz przyszła mu do głowy. Marketing miasta: Z pewnością to pojęcie będzie można przeczytać w jednym z jego następnych artykułów.

Toktok, toktok, toktok. Toktok, toktok, toktok. W rytmie pokrzywionych torów pociąg zbliża się do granicy. Przy oknie naprzeciwko siedzi młoda kobieta, krótkie włosy, studentka, z dużym bagażem, przybywa z Niemiec. »Podczas ferii semestralnym przyjeżdżam zawsze do domu«, wyjaśnia i sięga ponownie po aparat fotograficzny, wychyla się za okno w poszukiwaniu motywów. Także dla niej nie jest ta granica rutynową codziennością. Punktualnie o 13.07 pociąg zatrzymuje się z piskiem hamulców w Kuźnicy Białostockiej, na ostatnim dworcu w Polsce. Studentka szybko chowa aparat. Na peronie oczekują mężczyźni i kobiety z polskiej Straży Granicznej. Stoją wyluzowani i zupełnie nie wyglądają do prowincjonalnie. Być może zostali przeniesieni ze Słubic, zachodniego końca Polski do Kuźnicy na dalekim wschodzie. Perony są ogrodzone, psy celników pociągają za smycze. Jednakże demonstracyjne okazywanie porządku europejskiego kontrastuje wyraźnie z tym, co się tu rozgrywa, gdy pociąg ma postój w Kuźnicy. Jak tylko wysiedli uczniowie, wdzierają się kobiety z ciężkimi bagażami do wagonów, jak gdyby pociąg szmuglerów czekał tylko na swoje szmuglerki. Między nimi kłębią się mężczyźni z koszulkami napiętymi na olbrzymich brzuchach, przyglądający się kobietom, przy uchu komórki. Sami nie mają bagaży, szmuglowanie to przecież jest rzecz kobiet. Wkrótce rozpoczyna się pomiędzy kobietami ożywiona rozmowa, rosyjsko-polska mieszanka. Jedna z nich rozdziela opakowanie musli sąsiadkom, inna liczy swoje wieszaki. Papierosów i wódki nie widać, jednakże szmuglerki mają dość towaru przy sobie, żeby niepostrzeżenie schować »gorący towar«. Dopiero po trzech kwadransach pojawiają się polscy strażnicy graniczni i celnicy. Chyba rzeczywiście jest tak, jak powiedział Andrzej Kłopotowski: »Jeśli chodzi o mrówki, drobnych szmuglerów, to funkcjonariusze przymykają mocno oczy, żeby trochę pary z kotła się ulotniło. Region Podlasie to obszar biedy w Polsce, a szmugiel dla wielu jest jedynym źródłem dochodu.«

Punktualnie o 14.12 pociąg znowu rusza; białoruska kontrola graniczna odbędzie się dopiero na dworcu w Grodnie. Po godzinie pociąg szmuglerów przejeżdża przez most na Niemnie, a krótko po tym jest »stacja końcowa«. Także na dworcu w Grodnie, betonowym pudle z czasów sowieckich, peron jest odgradzony, strażnicy graniczni kierują tłum do hali dworcowej, kilku młodzieńców pędzi do przodu, aby zająć pierwsze miejsca do kontroli paszportowej i celnej. Oni wiedzą, że na wschód od równika UE panuje inne tempo. Wielu

rzeczy tu nie ma, jednego jest w nadmiarze – czasu. Ponad trzy kwartały trwa załatwienie kolejki, przy czym większość to białoruscy obywatele. W przypadku podróżnego z Niemiec funkcjonariusz potrzebuje pomocy przełożonego. On także wprawdzie nie zna angielskiego, ale jest przyjazny i w końcu przepuszcza po wypytaniu, dokąd prowadzi podróż. Witamy w Grodnie, w najbardziej zachodnim mieście Białorusi.

Istnieją granice, które są tylko liniami na mapach, przerywane wspomnienia tego, że kiedyś stały tam szlabany, za którymi zaczynało się to, co kiedyś nazywano zagranicą. Podczas odprawy granicznej w Grodnie znowu odżyły, wspomnienia o tych granicach. Jak kiedyś w pałacu łoż przed Berliner Bahnhof Friedrichstraße musi dziewczyna przede mną zaczesać włosy za uszy, funkcjonariusz podnosi i opuszcza wzrok, porównuje zdjęcie paszportowe ze stanem faktycznym. Bez cienia uśmiechu zezwala jej na przejście. Ale co dałby uśmiech, jeśli miasto, które na nas czeka, prawie wcale nie jest przyjaźniejsze? Brakuje tu znaków urbanistycznych, które są nam znane, sklepów, kawiarni, wzrok musi być na nowo szkolony, ponieważ są tu inne znaki urbanistyczne: wieżowce mieszkalne, zbiorcze taksówki, ludzie o zmęczonym wzroku. Nie widać w Grodnie żadnych oznak paneuropejskiego upiększania dworców. Szybko dalej lub szybko stąd uciec, tylko się nie zatrzymywać. Przesłanie dotarło.

»Co mogę dla Pana zrobić?« przyjaźnie uśmiecha się hostessa, jak gdyby ten ton usług był oczywistością na Białorusi. Nawet niebieski kostium nie wygląda w jej przypadku jak uniform lecz oznacza indywidualny szyk. »Zbudowaliście Państwo przed swoim stoiskiem informacyjnym kajak«, pochrząkuje, na ścianie wisi mapa ze szlakami wodnymi. Chciałbym wiedzieć, czy dostanę się kajakiem z Godna do Augustowa w Polsce lub Druskiennik na Litwie.« – »Nie ma problemu«, skinęła głową pani na stoisku firmy Nemnowo-Tour, pochyliła się i wyłowiła spod lady kilka broszur. »Widzi Pan, my jesteśmy tutaj. Na północ od Grodna wpływa Czarna Hańcza do Niemna. Poprzez Czarną Hańczę dotrze Pan do Kanału Augustowskiego i potem prostą drogą do Augustowa. – »A przejście graniczne?« – »Nie ma problemu. Jest przejście graniczne na szlaku wodnym, otwarte po polskiej stronie codziennie od 8 do 18.« – »A po stronie białoruskiej?« – »Tu trzeba wcześniej zadzwonić, ale to też nie jest problem, chętnie to dla Pana załatwimy.« Z przyjaznym uśmiechem hostessa przekazuje mi swoją wizytówkę. »Współpracujemy z firmą turystyczną z Augustowa. I świetnie się to udaje. A gdy mały ruch graniczny będzie obowiązywał, będzie wszystko jeszcze lepiej. «Jej uśmiech sprawia wrażenie zobowiązującego, również gdy prospekt o ponad granicznej trasie kajakowej jest towarem spod lady.

Rozbudowa białoruskiej części Kanału Augustowskiego, odnowienie 4 śluz, zbudowanie infrastruktury turystycznej, to wszystko należy do modelowego projektu rządu w Mińsku. »I to właśnie tu jest problem«, mówi Vitaly Korneljuk, wyławiając papierosa z kieszeni swojej marynarki sztruksowej, obraca go pomiędzy palcami. On nie ma czasu, także to istnieje w tym mieście – myślę sobie. Na Uniwersytecie Janky Kupały w Grodnie Korneljuk kieruje katedrą turystyki. Kiedyś musiał się zdecydować mówić otwartym tekstem zamiast owijać w bawełnę. A więc mówi: »rozwój turystyki na Białorusi to sprawa centrali, regiony nie mają nic do powiedzenia.« To brzmi całkiem tak, jak mi powiedział szeptem pewien znajomy. »Na Białorusi mamy państwowy plan rozwoju turystyki, dlatego prawie nie mamy hoteli i kawiarni«, zażartował. »W Polsce i na Litwie nie ma żadnego planu państwowego. Tam jest jednak bardzo dużo kawiarni i hoteli.« Całkiem tak źle nie jest, zapewnia Korneljuk. »Większość studentów zna zachodnią zagranicę, standardy turystyczne w tych krajach są im znane. Są bardzo zaangażowani. Pomimo to mamy dużo do nadrobienia.«

Korneljuk przebiera nogami, jego niecierpliwość można uchwycić dłońmi. Zupełnie niedawno zorganizował konferencję turystyczną. »Moją grupą docelową są studenci i uczniowie.« Brzmi to tak, jak gdyby zwinął zagle przed postsowiecką biurokracją. Jak silna jest ona w dalszym ciągu, zdradziła mi młoda Białorusinka, która chciała otworzyć w Grodnie kawiarnię. »Najpierw powiedziano mi, że na Białorusi nie ma kawiarni. Są albo restauracje albo bary szybkiej obsługi. Od każdej kategorii jest uzależniona ilość ludzi, których musisz zatrudnić. Także nazwy twojego biznesu nie możesz sobie sam wyszukać. To samo dotyczy kształtowania cen, marża jest ustalana państwowo. I jeszcze na sam koniec musisz zlecić prowadzenie księgowości państwowej firmie księgowej.« Kto do tego momentu jeszcze się nie poddał, robi to najpóźniej, gdy dojdzie do spraw nieruchomości. »Umowy czynszowe możesz zawsze zawierać tylko na rok, wtedy nie opłaca się żadna inwestycja. Również jeśli dokonasz zakupu, koncesja obowiązuje tylko jeden rok.« Miasto turystyki Grodno: Dla jednych słomka do picia napojów, dla innych podróz przez świat absurdu.

Gdy Vitaly Korneljuk słyszy takie historie, jeszcze bardziej marszczy czoło. Nikt nie zna lepiej przepaści pomiędzy chęciami i rzeczywistością jak naukowiec Uniwersytetu w Grodnie. Nie tylko jest za mało hoteli w Grodnie, w większości z nich zatrzymał się także czas. W Gostinica Belarus, największym hotelu miasta, angielski jest pojęciem obcym, za to rejestracja w hotelu trwa tak długo jak odprawa graniczna na dworcu. Kto chce zapłacić kartą Visa, musi mieć nadzieję, że przepustowość instalacji telefonicznej czytnika jest wystarczająco duża. A do tego w lecie w większości hoteli odcina się ciepłą wodę, rzekomo z powodu napraw instalacji wodociągowej. Zachodnie są tylko ceny w hotelach Grodna.

Dużo ważniejszy jest dla Korneljuku jednakże inny problem: »Większość Białorusinów nie wie, co ten kraj może zaoferować«, mówi i wskazuje na duchowe dziedzictwo Związku Radzieckiego, w którym ten kraj także cierpiał. »Nasza wiedza historyczna zupełnie nie wystarcza. Wiemy wprawdzie, że Białoruś była częścią Wielkiego Księstwa Litewskiego a później polsko-litewskiej republiki szlacheckiej. Ale to nie wystarcza.« To samo dotyczy Niemna, stwierdza. »Niemen dużo widział, dużo przeżył, nad jego brzegami dużo się wydarzyło. Dlatego mógłby być symbolem naszej historii.« Tak jak współpracownica biura podróży Nemnowo-Tour stawia także Korneljuk na rozwój turystyki wodnej. »Drogi wodne poprzez Kanał Augustowski i Niemen mogłyby znowu połączyć Grodno i zachód Białorusi z Europą«. Dlatego trójstronna współpraca ponad granicami pomiędzy Polską, Litwą i Białorusią jest tak ważna. »Naturalnie mamy granicę, ale tu żyją ludzie od pokoleń. Oni mają w głowach inne granice.« Zanim znowu będzie musiał udać się na seminarium, opowiada mi Korneljuk jeszcze, że w czasach Związku Radzieckiego mieszkał ze swoimi rodzicami we Frankfurcie nad Odrą. »To jest dla mnie wzór. Niestety jest tak, że tu jeszcze nie jest możliwe pokonywanie granicy tak jak nad Odrą. Mam jednak nadzieję, że tak będzie w przyszłości.«

»Spotkajmy się przed czołgiem«, zaproponował Jan. Mógłby także powiedzieć: Spotkamy się na Starym Rynku w Grodnie. Ale tego rynku nie ma, został zburzony, za dużo przeszłości tam stało a za mało socjalizmu. Gdzie kiedyś stał ratusz, zieje pustka na »Placu Czerwonym« – a na samym jego środku stoi czołg z odważnie skierowaną lufą na zachód. »Nasze centrum«, żartuje Jan i otwiera drzwi samochodu. »Jeśli pójdziesz kilka kroków dalej, to wygląda to tak, jakby czołg kierował lufę na kościół. Z przeciwległej strony grozi on z kolei teatrowi.« Na Białorusi trzeba w dalszym ciągu czytać między wierszami – i mieć wyczucie symboli. »Pomimo czołgu i wielu pomników Lenina nie należy jednak porównywać Białorusi do Związku Radzieckiego«, przestrzega Jan. »Większość z nas zna zagranicę, a w Internecie otrzymasz wszelkie informacje, których potrzebujesz.« Ten 26-latek, który wcześniej studiował w Niemczech, znalazł również w sieci kilka artykułów o Kanale Augustowskim.

Czy droga wodna, która wychwalali Vitaly Korneljuk i hostessa jest naprawdę brakującym ogniwem pomiędzy Polską i Białorusią? Także Jan stał się niecierpliwy. Wyruszamy, lufa czołgu pokazuje nam drogę.

Zaraz za Grodnem powracają kolory – łagodnie zielone, soczyście zielone, turkusowe, lasy i cieki wodne i wciąż na nowo prościutkie drogi, które są lepsze niż opinia o nich. I wkrótce krajobraz staje się ponownie pagórkowaty. »Pierwsze ślady Pojezierza Bałtyckiego«, wyjaśnia Jan. Po pół godziny jesteśmy w Nemnowie. Tu wpada Kanał Augustowski, który cały czas prowadził za biegiem Czarnej Hańczy, do Niemna, który płynie w kierunku Druskiennik. »Trzy kraje w trzy dni«: Tym sloganem reklamowało się Nemnowo-Tour na targach turystycznych. Trochę rzewnie Jan spogląda na przebieg Niemna na północ. »Jako dziecko byłem zawsze z rodzicami w Druskiennikach«, wspomina. »To było jeszcze przed upadkiem Związku Radzieckiego. Czy wtedy pływały statki, nie mogę tego powiedzieć. My podróżowaliśmy zawsze pociągiem, starą linią kolejową do St.Petersburga. Wtedy był za Grodnem rozjazd.« W ogóle, Niemen. »Od czasu jak byłem pierwszy raz u źródeł Niemna, wiem, skąd ta rzeka pochodzi.« Wkrótce Jan chce też się dowiedzieć, gdzie jest jej ujście do Bałtyku. Również o delcie Niemna znalazł wiele informacji w Internecie. Najpierw jedziemy dalej do Dąbrówki, cały czas wzdłuż kanału w kierunku Polski. Kanał Augustowski został zbudowany w 19. wieku i już wtedy chodziło o pokonanie granic. Prusy wprowadziły niespodziewanie opłaty celne na polskie towary eksportowe u ujścia Wisły pod Gdańskiem, dlatego teraz towary transportowane miały być Niemnem. W Prusach Wschodnich nie było ceł. Jednakże krótko po zleceniu budowy ponad 100 km trasy wodnej w roku 1825 przez cara Aleksandra I Prusy ponownie zlikwidowały cła. Rosja pomimo to zbudowała kanał, który był gotowy w roku 1839. Z 18 śluz 14 znajduje się na terytorium Polski a 4 na Białorusi. Ponieważ nie istnieje w Europie porównywalna droga wodna to polskie Ministerstwo Kultury zaproponowało już w roku 2007 wpisanie odnowionego Kanału Augustowskiego na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO.

»Modernizacja była od początku projektem prestiżowym«, mówi Jan i zatrzymuje się przed śluzą w Dąbrówce, największą z czterech śluz po białoruskiej stronie. »W 2005 zakończono prace modernizacyjne, dwa lata później uruchomiono ponownie cały 21 kilometrowy odcinek.« Od tego momentu istnieje także przejście wodne pomiędzy Rudawką i Liasnaja. »Aż tam nie możemy niestety jechać«, żałuje Jan. Za Dąbrówką zaczyna się teren zamknięty. Czy latem rzeczywiście pływają tu kajakarze? – pyta Jan mieszkańca wioski. »Jeśli ma się wizę, wszystko gra«, brzmi odpowiedź. »Dla kajakarzy z Polski Kanał Augustowski stał się atrakcyjnym celem.«, mówi Jan i kopie kamień do wody. »Pan może rzeczywiście z tylko jedną wizą wjechać na Białoruś i potem dalej na Litwę. Jeśli chodzi o większość Białorusinów, to ta podróż ›Trzy dni, trzy kraje‹ nie udaje się z powodu pieniędzy.«

Trochę bezcelowo chodzimy po Dąbrówce. Ulica jest świeżo wyasfaltowana, bezskutecznie szukamy zarówno kiosku jak i planu jazdy statku »Njoman«, który jest mocno przycumowany w basenie portowym. »To są oba oblicza Białorusi«, mówi Jan. »Najpierw wszystko musi rozgrywać się bardzo szybko, a potem w połowie drogi się wszystko zatrzymuje. Nigdy nie robi się czegoś prawidłowo, nic nie jest przewidywalne.« Chcę wiedzieć, dlaczego nie pozostał po swoich studiach w Niemczech. Jan zwleka. Jeśli decydowałyby niemieckie urzędy, mógłbym zostać jeszcze jeden rok. Musiałbym wtedy przesunąć służbę wojskową. »Nie chciałem zablokować sobie przyszłości«, mówi cicho i brzmi to tak, jak gdyby chciał dać jeszcze jedną szansę swojemu krajowi. Niestety kraj odmawiał mu jak do tej pory wszelkich szans. »Nie ma zapotrzebowania na ludzi ze znajomością języka niemieckiego w Grodnie. Jeśli wkrótce nie znajdę porządnej pracy, muszę się stąd wynieść.« Nawet jeśli Jan

chętniej by pozostał – inni w jego wieku już dawno wyjechali, do Mińska, Moskwy lub Monachium.

W drodze powrotnej Jan opowiada o swojej rodzinie. Jego matka była Rosjanką, która przybyła w czasach sowieckich do Grodna, jego ojciec jest wyznania katolickiego. Chociaż dziadek ze strony ojca uczył się polskiego jako języka ojczystego, Jan nie czuje się przynależny do polskiej mniejszości. Jeszcze nigdy nie był w Białymstoku, chociaż przy jego historii rodzinnej mógłby dostać nawet Kartę Polaka, zgodę na wjazd do Polski łącznie z pozwoleniem na pracę. Także o nielegalnych przedstawieniach filmowych Macieja Ranta nic nie słyszał. Z powrotem przy czołgu patrzymy długo na szyld z drogowskazami.

»Druskienniki i Białystok« jest tam napisane, w cyrylicy i w piśmie łacińskim. Zapytuje się, ile czasu już minęło, gdy byłem w Białymstoku. Tu w Grodnie wydaje mi się to dużo bardziej odległe, niż mi się to wydawało. Iluzją entuzjastów jest wyobrażenie, że granice są już tylko na papierze. Jak nieprzepuszczalna jest ta zewnętrzna granica UE, dowiedzieć się można dopiero po drugiej stronie.

Ella jest już na dworcu autobusowym. »Odjazd 10.40, przyjazd do Druskiennik około godziny 13«, poinformowała mnie przez SMSa. Ponad dwie godziny na czterdzieści kilometrów – znowu jazda w ślimaczym tempie na pograniczu Europy. »Ciesz się, że w ogóle dojedziesz na Litwę«, wita mnie ona na platformie 1 dworca autobusowego w Grodnie. »Kilka miesięcy temu nie jeździł żaden autobus, z powodu kryzysu. Teraz jeździ znowu. Dobra oznaka przyspieszenia gospodarczego, nie prawda?«

Bilet z jednego miasta nad Niemnem do drugiego kosztuje 7.000 białoruskich Rubli, to są 2 Euro. Zupełnym przeciwieństwem do ceny jest nakład sił potrzebnych do kupienia biletu. Bez paszportu nie dostanie się biletu, mówi sprzedawczyni przy »okienku międzynarodowym« i skrupulatnie przenosi numer paszportu na bilety. Za chwilę podjeżdża autobus, rzekomo trzygwiazdkowy autobus z zasłoniętymi zasłonkami. Aż tak różowo to nie jest z tym przyspieszonym rozwojem gospodarczym w Grodnie. W przeciwieństwie do Jana Ella nie została ochrzczona wodą z Niemna. Urodziła się w mieście Witebsk nad Dźwiną, mieście Marka Szagala, które dzisiaj leży bezpośrednio przy granicy z Łotwą. Do Grodna sprowadziła ją miłość, jej niemiecki mąż pracuje jako lektor DAAD na Uniwersytecie Janki Kupały. Właściwie chcieli pojechać oboje w ten poniedziałek na Litwę, żeby odebrać na lotnisku w Wilnie przyjaciółkę. Ale mąż Elli musiał pozostać w Grodnie, ponieważ biuro międzynarodowe uniwersytetu przeoczyło ponowne złożenie wniosku o wizę roczną. Teraz Ella musi jechać na Litwę, przynajmniej może ze swoją szengenką wizą bez problemu podróżować za granicę do UE. Również Druskienniki są jej znane. Jeśli się bardzo nudzi w Grodnie, jedzie czasami z mężem w weekend do tego litewskiego kurortu, żeby wypić kawę. »Chętniej jestem na Litwie niż w Polsce«, mówi Ella, gdy już wsiedliśmy do autobusu. »Być może przyczyną tego jest to, że Polacy traktowali zawsze Białorusinów trochę z góry. To nas Białorusinów łączy z Litwinami.« Po Janie Ella jest już drugą Białorusinką, która skłania się do tezy, że relacje ponad granicami w trójkącie pomiędzy Polską, Białorusią i Litwą nie bazują na wzajemności lecz przebiegają wbrew ruchowi wskazówek zegara: z Białegostoku do Grodna i z Grodna do Druskiennik. Tylko jednego brakuje pomiędzy Białorusią i Litwą, umowy o małym ruchu przygranicznym. Nawet jeśli ludzie chcieliby się na Białorusi otworzyć na Litwę, to państwa trzymają dystans wobec siebie.

Tym bardziej zbliżają się do siebie podróżni. Ledwo wsiedli, siadają wszyscy po kolei na przednich siedzeniach, jak gdyby autobus miał zapełnić się całkowicie na tych kilku przystankach przed granicą. Ella i ja jesteśmy jedynymi, którzy siedzą w środku. Być może

dlatego nie odzywa się do nas kierowca po pokonaniu białoruskiego posterunku granicznego, gdzie czekaliśmy godzinę. Po krótkim postoju przy kontenerze Duty-free rozwiązuje się zagadka. Z dodającym odwagi gestem kierowca wciska każdemu z pięciu podróżnych butelkę wódki do ręki. Po litewskiej kontroli wódka zostaje ponownie zebrana. Na tej granicy musi także kierowca swoje zarobić. A jego odbiorca w Druskiennikach cieszy się z taniego alkoholu z kraju Łukaszenki.

Grodno nazywa się po litewsku Gardinas i na ulicy Gardinasa przemieszcza się ten trzygwiazdkowy autobus w kierunku dworca autobusowego, mijając sosnowe lasy i świeżo pomalowane letnie domki. Ze swoimi 320.000 mieszkańców Grodno jest wprawdzie ponad dziesięciokrotnie większe niż jego siostrzane miasto nad litewskim Niemnem, ale za to Druskienniki mają dziesięciokrotnie więcej łóżek noclegowych. Przy tym ten najbardziej znany litewski kurort był ponad 200 lat temu wsią, która liczyła całe pięć gospodarstw. Ale potem Prusy, Austria i Rosja podzieliły w roku 1772 Polskę-Litwę po raz pierwszy pomiędzy siebie i kopalnia soli w Wieliczce pod Krakowem należała nagle do Austrii. Polski król-reformator Stanisław August Poniatowski zmuszony przez okoliczności zdecydował się na zbadanie zawartości soli w solankach w Druskiennikach. Nadaremnie, jak to się wkrótce okazało. Skład chemiczny był niewystarczający, żeby produkować sól kuchenną. Ale wystarczył, żeby powstały źródła lecznicze. I tak zaczyna się historia tego miasta soli, jak się Druskienniki dosłownie nazywają. Tak robi się z biedy cnotę. »Jeśli to nie jest słowo pożegnalne«, uskarża się Ella i sprawdza na dworcu autobusowym swoje połączenie z Wilnem. Żegnam się i taszcze mój bagaż do hotelu Wellnes Spa Vilnus. Jest to odnowiony nobliwy hotel z czasów sowieckich, który obiecywał w Internecie najkorzystniejszą cenę.

Zawsze dopasować się do warunków, być może jest to historia sukcesu tego małego kurortu nad Niemnem. Ostateczny podział Polski-Litwy i zaczynające się panowanie carów nie zaszkodziło Druskiennikom, wręcz przeciwnie. W roku 1837 car Nikolaus I. nadał tej nadniemeńskiej miejscowości tytuł uzdrowiska – i wkrótce przybyli goście z całej Rosji. W roku 1839 jeździł dwukrotnie dziennie powóz pomiędzy Grodnem i Druskiennikami, ale podróż trwała osiem godzin z uwagi na piaszczyste drogi. Istotnie krócej trwała podróż po podłączeniu Druskiennik do linii kolejowej Warszawa-Petersburg. Teraz można było na północ od Grodna przesiąść się do tego kurortu nad Niemnem. Pod koniec 19. wieku parowiec przewoził na Niemnie pasażerów z Grodna do sanatorium. Wszyscy, którzy się liczyli, przybywali: pisarze Józef Ignacy Kraszewski, Eliza Orzeszkowa, Jan Czeczot i Władysław Syrokomla, malarz Napoleon Orda i kompozytorzy Stanisław Moniuszko i Mikalojus Konstantinas Čiurlionis. Biznesowi nie zaszkodziło także, że po Powstaniu Styczniowym w roku 1863 nie wolno było mówić po polsku i litewsku. W przededniu Pierwszej Wojny Światowej powstały nad Niemnem hotele z tak dumnie brzmiącymi nazwami jak Europa lub Bristol.

O wszystkim tym dowiaduję się w muzeum miejskim, gdzie pomimo wszystkich napięć, które jeszcze istnieją, nie przemilcza się polskich czasów. Już w roku 1920 polskie oddziały wojskowe zajęły Druskiennikai, które dwa lata później zostały razem z Wilnem przyłączone do II Republiki Polskiej jako »Litwa Środkowa« i nazywały się teraz Druskienniki. Już nie Sankt Petersburg troszczył się teraz o rozbudowę infrastruktury, lecz Warszawa. I znowu odbyło się to bez szkody dla kurortu. Po wznowieniu działalności jako sanatorium wiosną 1923 szybko panował tu wielki ruch. Warszawa nadała gminie prawa miejskie, Zrzeszenie Przyjaciół Druskiennik organizowało koncert letnie, na które przybywali muzycy z Grodna i Białegostoku. Ku przerażeniu konserwatystów młoda lekarka Eugenia Lewicka przekonała panie z towarzystwa do uprawiania sportu i gry w tenisa. Gdy spółka akcyjna, do której

należał zakład kąpielowy splajtowała w roku 1930, to kurort upaństwowiono bez zwłoki. Marszałek Józef Piłsudski, silny przywódca Polski, został już w roku 1928 honorowym obywatelem. »Nawet Związek Radziecki Druskienniki przetrwały bez szkód«, opowiada współpracownik muzeum. Ale obok willi i domów letnich wyrosły olbrzymie betonowe budowle. Mój hotel pokazuje jednak, że także one znalazły swoje miejsce w nowych czasach. Nie mogę mu nic zarzucić. Historia Druskiennik jest historia sukcesu, w przeciwieństwie do historii Grodna.

»Wszystko brzmi całkiem prosto, ale tak łatwo to nie było.« Algirdas Svirskas ma z tego powodu siwe włosy, które krótko ściął. »Po rozpadzie Związku radzieckiego brakowało nam 90 procentów gości.« Ale miasto zareagowało i opracowało nową strategię. Svirskas nazywa ją: »Odejdźcie od sanatoriów w kierunku wellness i kształtowania czasu wolnego.« Algirdas Svirskas jest odpowiedzialny za marketing miejski i inwestycje w zarządzie miasta Druskienniki. W umówionym czasie przyprowadził Gabrielę Čepaitę, która mówi znośnym angielskim. Svirskas jest przepojony dumą, że Druskienniki znalazły swoje miejsce w nowej rzeczywistości. »W międzyczasie powstał w Druskiennikach największy Aquapark w krajach bałtyckich. Nowy tor narciarski, który będzie prowadził po moście przez Niemen, ma być porównywalny ze swoimi odpowiednikami w Davos i Dubaju.« Sukces wydaje się przyznawać mu rację. Podczas załamania liczby gości w czasie kryzysu gospodarczego, gdy przybywało ich o 20 procentów mniej, utrzymała się prawie niezmienną liczbą gości zagranicznych. Liczba gości z Polski wykazuje od 2 lat przyrost o nawet 50 procentów rocznie. »To jest wynik naszego porządnego marketingu na polskim rynku.«, cieszy się Svirskas. A współpraca regionalna z Białorusią i Polską? »Ciężki temat«, mówi Algirdas Svirskas. »Z jednej strony miejscowość turystyczna musi kooperować, z drugiej strony marka musi odróżniać się od innych. Do tej pory wygląda to raczej tak, że jesteśmy raczej sami.«

Ale jak by nie patrzeć miasto stworzyło z polskim Augustowem wspólny projekt europejski. »Chodzi o turystykę wodną na Kanale Augustowskim i Niemnie«, mówi Svirskas. »W obu miejscowościach ma być przede wszystkim poprawiona infrastruktura turystyczna. W Augustowie modernizuje się dlatego scenę pod gołym niebem, w Druskiennikach nadajemy nową formę parkowi nad rzeką.« A białoruska część kanału? »Nie, Białoruś nie bierze w tym udziału. Także Grodno prawdopodobnie nie jest zainteresowane, działa samo. Ale gra w innej lidze. Żeby mnie Pan tylko źle nie zrozumiał«, wtrąca uwagę Svirskas do rozmowy. »W następnym piątek lecę do Mińska. Na Forum Białorusi chodzi o mały ruch przygraniczny z Białorusią, do którego dążymy tak jak Polacy. I być może nasz regionalny port lotniczy stanie się kiedyś portem lotniczym dla całego regionu.«

Każdy język ma swoje własne słowo. Dreiländereck, niemieckie, wyraża to, że w miejscu, gdzie się spotykają trzy kraje lub państwa, powstaje nowy środek: miejsce obdarowane często monumentem, z którego ma się dobre spojrzenie na sąsiednie regiony, które widziane ze stolic są tylko prowincjami. W Polsce nie jest się tak optymistycznym. Tam jest Gdańsk, Gdynia i Sopot, które otrzymały wprawdzie nazwę Trójmiasto – Dreistadt – ale jedno słowo na Dreiländereck stworzono jednakże całkiem niedawno: trójstyk trzech państw. Nie wiele inaczej wygląda to także w litewskim. Dreiländerecke tworzą tam przede wszystkim nowe centra, gdzie granice są otwarte a dobrobyt równo rozdzielony. Jeśli tak jednak nie jest, to położenie graniczne staje się szybko problemem. Albo groźbą, jak ta elektrownia atomowa, którą chce zbudować Białoruś na granicy z Litwą i Estonią. W Druskiennikach nie żywi się dlatego iluzji, że można wybudować z Polską i Białorusią wspólne centrum energetyczne nad środkowym Niemnem. Druskienniki są centrum same dla siebie. To takie Ufo, które wylądowało na prowincji i które ma tak samo mało wspólnego z otaczającymi je wioskami

litewskimi jak i polskimi i białoruskimi. Europie wydaje się podobać takie prężenie się. Prawie żadne litewskie miasto nie dostało w ostatnich latach tyle środków europejskich jak ten kurort nad Niemnem. Ale nie przybliżyło to do powstania ponad granicznego regionu, chociaż instytucja, która rozdziela środki unijne nazywa się Euroregion Niemen.

Powoli zbliża się pociąg pospieszny Litewskich Kolei Państwowych do dworca granicznego Šeštokai. Podróż trwała półtorej godziny, kolejną godzinę potrzebuje PKP na europejskich torach, aby dotrzeć do Suwałk. Czego nie zdradził Algirdas Svirskas podczas swojej audyencji w ratuszu w Druskiennikach: Wydaje się, że na Litwie przerwano ruch w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Inaczej niż kajakarze, normalni podróżni mają kłopoty z dotarciem ze świata kurortu na polską stronę granicy. »Nie, autobusu do Suwałk nie ma«, stwierdziła pani w biurze podróży. »Następny autobus do Białegostoku odchodzi za tydzień. Może Pan spróbować poprzez Lazdijai, ale czy oni mają połączenie, tego nie wiem.« Na sam koniec zaproponowała, żeby wziąć autobus do Wilna i polecieć stamtąd do Warszawy. Zdecydowałem się na autobus do Kowna i potem na podróż koleją. Droga na około, ale za to można posiedzieć w tej metropolii nad Niemnem w teatrze na świeżym powietrzu nad brzegiem rzeki, pobiegać nad Santaka, zbiegiem Niemna i Wilii i poszwędać się po Starym Mieście. Wszystkiego tego będzie mi brakowało w Suwałkach i Sejnach – i z drugiej strony jednak nie. W końcu jestem umówiony w tym małym polskim przygranicznym mieście Krzysztofem Czyżewskim, jednym z najciekawszych intelektualistów tego kraju.

»Dzięki Krzysztofowi Czyżewskiemu i Fundacji Pogranicze Sejny stały się symbolicznym miejscem młodej polskiej demokracji, krytycznego zmierzenia się z europejską historią (...) i budowania przyjacielskich relacji Polski z sąsiednimi narodami«, napisał kiedyś polski publicysta Basil Kerski w niemiecko-polskim czasopiśmie *Dialog*. Wielkie słowa ale wielkie i ciężkie były zaszczości historii na polsko-litewskiej granicy. Patrząc na historię Polska jest traktowana jako rodzaj siły kolonialnej nie tylko na Białorusi, lecz także na Litwie, która była kiedyś połączona z Polską po Unii w Krewie. W końcu szlachta białoruska i litewska była polonizowana, litewski stał się językiem chłopów. Również zajęcie obszaru Wilna przez Polskę nie zostało na Litwie zapomniane. Niewiele tu pomaga, że Adam Mickiewicz swoje dzieło *Pan Tadeusz* zaczął wersami »Litwo, ojczyzno moja«.

Polska była do 1989 na Litwie postrzegana raczej jako wróg, nie sąsiad. W Polsce Litwini byli uważani za gorliwych pomocników narodowych socjalistów i z tego powodu Armia Krajowa, obywatelska armia powstańcza, zwalczała pod koniec Drugiej Wojny Światowej nie tylko nazistów i Armię Czerwoną, lecz także jednostki Povilasa Plechavičiusa, który uciekł przed sowietami z Litwy do Niemiec i powrócił z Wehrmachtem w wyniku jego kampanii rosyjskiej do ojczyzny w roku 1941. Rzadko nienawiść pomiędzy narodami w 20. wieku była tak widoczna aż do przełomu politycznego, jak ta pomiędzy Polakami i Litwinami, a o małe graniczne miasto Sejny walczone szczególnie. Po jednej stronie głównej ulicy miasta Litwini wystawili pomnik Antanasa Baranaukasa, litewskiego pisarza i byłego biskupa Sejn. Po drugiej stronie ulicy jest pomnik marszałka Józefa Piłsudskiego, przy którego zgodzie włączono w roku 1922 do Polski zajęty obszar Wilna.

Chociaż konflikty były olbrzymie, były także głosy pojednania. W korespondencji z litewskim lirykiem Tomasem Vencloven polski poeta i noblista Czesław Miłosz uznawał już w roku 1978 Wilno jako nową litewską stolicę. Miłosz nazywał nawet sam siebie, całkiem w tradycji Mickiewicza, ostatnim mieszkańcem Wielkiego Księstwa Litewskiego.

»Program nacjonalistów polskich w dwudziestym wieku, dotyczący nie etnicznie polskich terenów, był głupi, ponieważ istniały enklawy, Wilno i Lwów. (...) I naturalnie Wilno było czymś dziwnym, co ja także teraz z oddalenia widzę – miastem zawirowanych, nachodzących na siebie stref, jak Triest i Czerniowce.«

Venclova uznawał w swoim liście do Miłosza wagę polskiej kultury dla litewskich intelektualistów: zachodnie książki, pisał, były w czasach Związku Radzieckiego niedostępne.

»Tym bardziej ważny był dla mnie język polski; i nie tylko dla mnie jedyne. Znałem dobry tuzin ludzi, dla których to także było okno na świat. Przez lata spotykaliśmy się w polskiej księgarni na ulicy Gediminka, docieraliśmy także do książek, których tam nie było. (...) Dyskutowaliśmy i żartowaliśmy po polsku, po części, żeby zmylić niepowołanych, po części ze snobizmu, po części z miłości do języka polskiego, ponieważ coś mu zawdzięczaliśmy.«

Pociąg z Kowna jest punktualny, Michał czeka na Peronie. »Ty jesteś Uwe?«, mówi mi na ty, sięga po bagaż i umieszcza go w Volkswagencie busie »Ośrodka Pogranicza«. »Czy będzie w porządku, jeśli najpierw pojedziemy do Krzyśka a dopiero potem do hotelu?« Zgadzam się. Krzysiek to typowe pieszczotliwe imię zastępujące Krzysztofa, wyjaśnia mi Michał. Krzysiek jest teraz w domu na wsi, kilka kilometrów od Sejna. Po drodze Michał odpowiada, jak to małe miasteczko obudziło się do nowego życia po przełomie politycznym w Polsce. »Biała Synagoga, Stara Yeshiva, szkoła średnia, domy w śródmieściu, wszystko stało puste. Wszystkie te miejsca były jakby stworzone, aby ponownie obudzić tu ducha wielokulturowego pogranicza.« W miarę upływu lat powstały pomieszczenia wystawowe, biblioteka, pomieszczenia seminaryjne a centrum Sejna stało się Agorą, którą teraz Polacy i Litwini wspólnie użytkują. 15 ludzi zatrudnia Ośrodek Pogranicza, który jest finansowany ze środków miasta i województwa Podlasie. Fundacja ze swojej strony utrzymuje wydawnictwo, które ma swoją siedzibę w oddalonych o 30 kilometrów Suwałkach.

Michał hamuje i mówi, że jesteśmy tu w Krasnogrudzie mile widziani. Krzysztof Czyżewski czeka już przed swoim domem, trzypiętrowej nowej konstrukcji z naturalnego kamienia i drewna, która dobrze pasuje do pagórkowatej okolicy. »Krasnogruda jest wioską z licznymi byłymi dworami«, wyjaśnia Czyżewski, »niecałe 500 metrów od tego miejsca spędził część swojego dzieciństwa Czesław Miłosz.« Najwidoczniej widzi Czyżewski, ambasador wielokulturowej Polski, swój dom w tradycji siedzib szlacheckich. Prawie podejrzanie mówi on o swoim domu »majątek«, do którego należy obok biblioteki, która znajduje się na obu górnych piętrach także salon. »Salon był w dawnych dworach zawsze orientalnym pomieszczeniem«, wyjaśnia Czyżewski i zaprasza na herbatę na górę. »Pozwoliłem sobie urządzić to orientalne pomieszczenie po japońsku.« Potem podaje mi świetnie bindowaną grubą księgę, którą właśnie wydało jego wydawnictwo: wielką historię Wielkiego Księstwa Litewskiego, gdzie zabierają głos polscy, litewscy, białoruscy i rosyjscy historycy. Wszystkie głosy są przetłumaczone na wszystkie cztery języki. »Czegoś takiego do tej pory jeszcze nie było«, podkreśla, »a przy tym powinno to się stać już dawno temu. Dialog powstaje dopiero, jeśli znasz także opinię przeciwnej strony.«

Dialogowi poświęcony będzie także dotychczas największy projekt Czyżewskiego. Dookoła byłego wiejskiego domu Czesława Miłosza powstanie »Centrum Dialogu«, a 30. czerwca 2011 ma ono być gotowe, punktualnie na 100. urodziny poety, który zmarł w roku 2004 w wieku 93 lat w Krakowie. Pełen optymizmu i radości informuje Czyżewski o różnych miejscach na tym terenie, z których ma powstać »archipelag pogranicza«. »W centrum stoi dwór, w którym będzie się znajdowało muzeum Miłosza. W Scriptorium będzie umieszczona

biblioteka, będzie atelie dla artystów i stypendystów, w akademii będą odbywały się konferencje, w Austerii będzie hotel z restauracją i kolejnymi pomieszczeniami konferencyjnymi. Czyżewski jest szczęśliwy, że udało mu się przekonać Unię Europejską do swoich planów na granicy polsko-litewskiej. »Na otwarcie«, zdradził mi to Michał podczas jazdy z Suwałk do Krasnogrudy, »ma przyjechać nawet Tomas Venclova i szef Komisji Europejskiej Barroso.«

Krzysztof Czyżewski i Czesław Miłosz, to było inspirujące połączenie już po przełomie politycznym w Polsce. Od samego początku noblista wspierał Fundację Pogranicze jako Spiritus Rector. Miłosz podzielał także filozofię Czyżewskiego, żeby nie pokonywać narodowych i kulturowych różnic, lecz je pokazywać i przy tym jednocześnie pozbawiać je nacjonalistycznej zawartości. »Tylko jeśli ktoś jest pewny swego, jest otwarty na inność i na przygodę, żeby wejść w interakcje z tym innym«, mówi Czyżewski w dalszym ciągu. W gruncie rzeczy, myśli, istnieją dzisiaj w Polsce dwa kierunki myślenia. »Jedni mówią o Kresach, tych utraconych magicznych obszarach, inni żyją wielokulturową współczesnością pogranicza.«

Tym co łączy narody są według Krzysztofa Czyżewskiego także rzeki. W gruncie rzeczy rzeka jest jedną z najważniejszych metafor pogranicza: »Ludzi, którzy żyją tylko po jednej stronie rzeki, nie wiedzą, co jest po jej drugiej stronie. To leży w naszej naturze, że chcemy na drugą stronę, że chcemy przekraczać rzekę. Żeby się dowiedzieć, co się tam znajduje. Naturalnie taka ciekawość może spowodować problemy. Ale bez tej ciekawości nie może nic wyrosnąć. Tak jest także na pograniczach. One wciąż stwarzają brzegi, z których wyrusza się przez rzekę do nowych brzegów.«

Również Niemen jest dla Czyżewskiego takim symbolem. »Sejny leżą nie tylko przy granicy z Litwą, Białorusią i obszarem Kaliningrad«, stwierdza. »Rzeczka Marycha i Czarna Hańcza łączą nas z Białorusią a Niemen i Szeszupa płyną na północ. Wpływa ona przy Tylży do Niemna. Jesteśmy więc wielokrotnie połączeni z tą rzeką.« Czyżewski jest o tym przekonany, że duch regionów w Europie jest ukształtowany przez ducha rzek. »Co my nazywamy Suwalszczyzną, obszarem wokół Suwałk, to Litwini nazywają Suvalkija lub Užnemunė, obszar na lewo od Niemna. To ten sam region z tą samą historią. Po rozbiorach obszar ten należał do Prus, potem był pod panowaniem Napoleona, po Pierwszej Wojnie Światowej walczyli o niego Polacy i Litwini, a teraz podzieliliśmy go sobie-« Także Czesław Miłosz, dodaje Czyżewski, był dzieckiem Niemna. »Został urodzony w Šeteiniai nad Nevėžis, prawym dopływem Niemna, poniżej Kowna i spędził tu swoje dzieciństwo, nad Marychą, która wpływa do Czarnej Hańczy, a ta wpływa poniżej Grodna do Niemna.«

Z powrotem w Sejnach Michał prowadzi mnie do biblioteki. »Mamy tu 30.000 tomów«, mówi dumnie Teresa, bibliotekarka. »To największa biblioteka o regionach pogranicznych w całej Europie.« Krótco później przynosi mi książkę, która została opublikowana w roku 1861 w Warszawie i całkiem nieoczekiwanie kończy moją podróż po obszarze styku trzech krajów nad Niemnem. Książka ma tytuł *Niemen, od źródła do ujścia*, autor to Władysław Syrokomla, szlachcic urodzony w pobliżu Mińska w roku 1823, który stawiał jako młody mężczyzna pierwsze poetyckie kroki po polsku i białorusku. W przeciwieństwie do tego jego książka o Niemnie jest całkowicie aktualna, gdy opisuje on prąd, jego ludzi i jego miejsca jako jedną całość. Syrokomla jest pierwszym kronikarzem tego prądu. Odnoszą się do niego tak samo Polacy jak i Litwini czy Białorusini. Kierunki spojrzeń na pograniczu trzech państw, Polski, Litwy i Białorusi mogą kierować się wbrew ruchowi wskazówek zegara. Ale Niemen trzyma się swoich własnych praw. A granice, które nad nim i przez niego przebiegają, powiedział

Krzysztof Czyżewski, nie są ostatnim słowem historii. »Te granice są tymczasowymi granicami. Wcześniej czy później rzeka nas połączy. Jeśli mierzyć tym, co ta rzeka przeżyła, to współczesność jest tylko czymś powierzchownym. W gruncie rzeczy powinniśmy być wszyscy razem.«

W drodze do Warszawy i z powrotem do Berlina pojawiają się znowu te pytania, które były na początku podróży do obszaru pogranicza nad Niemnem. Notuję w notesie: »A więc jednak na końcu znajduje się miernik zrastania się Europy. Wszystko jedno jak różnorodne mogą być parametry, polityka, uregulowania wizowe, współpraca kulturalna. Czy Europa pozostanie otwarta na inność, czy też się zamknie, zdecyduje się na jej obrzeżach. Czy »Partnerstwo Wschodnie« będzie wypełnione treścią, czy też pozostanie pustym przyrzeczeniem, o tym zdecydują nie tylko politycy w Brukseli, lecz także ludzie pogranicza w Białymstoku, Grodnie, Druskiennikach, Sejnach i Suwałkach.«

Centrum Dialogu, które ma powstać na 100. urodziny Czesława Miłosza, jest pomocne w argumentacji i jednocześnie kulturalnym awansem prowincji, nowym centrum na wschodnim pograniczu Europy – zostałem o tym przekonany. Czy Czyżewski nie pisze w swojej programowej pracy »Czas prowincji«:

»Jeśli dobrze rozumiem wysiłki Europejczyków, sprzeczność pomiędzy uszczelnianiem granic i ich ciągłym przełamywaniem, to przyszła Europa powinna być Europą regionów. Ponieważ wydaje się, że tylko taka forma umożliwi nowoczesnemu Europejczykowi znalezienie centrum, w którym czuje się on zakorzeniony, które go definiuje w jego inności i jednocześnie pozwala mu na branie udziału w sprawach świata, sprawach ogółu. Europa regionów jest jak kula, której środek można znaleźć wszędzie i której granic nie można nigdzie znaleźć.«

Stworzyć na peryferiach nowe centrum: I tak styk trzech państw pomiędzy Polską, Litwą i Białorusią jest symbolem Europy, która żyje nie tylko ze swoich politycznych i kulturowych centrów, lecz także ze swoich obrzeży. A przez sam środek płynie tak samo wtedy jak i dzisiaj Niemen.

Tłumaczenie: Artur Kuzmicz